Przyjaciel Ludu.

Leszno **No. 42.** dnia 22. Kwietnia 1835.



Kasper Hauser.

Wielu pisarzy zastanawiających się nad wewnętrzną naturą człowieka, usiłowało brak doświadczenia zastąpić domysłami, jakiby był stan człowieka, usunionego z dzieciństwa od wszelkiéj znajomości zewnętrznego świata, od wszelkiego obcowania z ludźmi; a tem samem, pozbawionego powszechnych wyobrażeń, żądz, wiadomości wynikających pospolicie z położenia i okoliczności, w jakich się każdy człowiek zwykle od urodzenia znajduje. Dociekanie, a raczéj zgadywanie uczuć, pojęć i wrażeń takowego człowieka, na widok cudów natury, których nigdy nie widział, na widok form i zwyczajów społecznych, do których zwolna nie nawykł, nieraz już ku sobie badawczy rozum i wyobraźnię ludzką nęciło, obszerne dla obojga otwierając pole. Dziwna historya Kaspra Hausera, rozwiązuje tę, dotąd nierozstrzygnioną zagadkę, i przez to samo ważne bardzo miejsce w historyi natury ludzkiéj zajęła. Następujące szczegóły, o tym tajemniczym człowieku, wzięte są z niemieckiego dzieła Feuerbacha, który bardzo ciekawie i obszernie całe życie jego opisał.

Dnia 26. Maja 1828 roku, jeden z mieszkańców miasta Norymbergi w Bawaryi, wyszedłszy rano z domu, postrzegł w niewielkiéj odległości młodzieńca, w stroju wiejskim, stojącego w szczególniejszéj postawie: który, jakby do miejsca przykuty, pomimo usiłowań, ażeby iść naprzód, nie mógł ani stać prosto, ani kroku postąpić.

Norymberczyk zbliżył się ku niemu, a postrzegłszy w ręku jego list z napisem do wojskowego komendanta Norymbergi, zaprowadził go do jego mieszkania. Skoro im służący otworzył, nieznajomy wszedł, wyciągając, rękę, w któréj list trzymał, i mówiąc: Reuta möcht ich wähn, wie mei Votta wähn is. Co ma znaczyć w dyalekcie gminnym: „chcę bydź żołnierzem jak mój ojciec.“ Na rozmaite pytania, które mu służący zadawał, jakoto: czego chce? kto jest? zkąd przychodzi? odpowiadał powtarzając te same słowa. Zdawał się być mocno ztrudzonym, tak, że gdy szedł, nie można było mówić, że idzie, ale że się zatacza. — Jakoż wskazywał na nogi, płacząc, z wyrazem wielkiéj boleści. W mniemaniu, że jest głodny, służący podał mu kawał mięsa. Lecz zaledwo pierwszy kęs do ust włożył, wzdrygnął się nagle: wszystkie muskuły twarzy drgać i ściskać się zaczęły, i z największém obrzydzeniem wzięte do ust jadło wyplunął. Nie mniejszy wstręt okazał skosztowawszy kilka kropel ze szklanki piwa, którą mu podano; lecz z wielką chciwością i ukontentowaniem zjadł kawał chleba, i wypił szklankę czystéj wody.

Tymczasem wszelkie usiłowania, aby się o jego osobie i przybyciu dowiedzieć, były daremne. Zdawało się, że słuchał nie rozumiejąc, patrzał nie rozeznając, i ruszał się, nie wiedząc, jak ma nóg do chodzenia używać. Cała mowa jego składała się z łez, mruczenia, i niezrozumiałych dzwięków, pomieszanych z wyżéj przytoczonemi słowami, które często powtarzał: „Reuta möcht ich wähn, wie mei Votta wähn is“ — wzięto go więc za jakiś rodzaj dzikiego człowieka, i czekano powrotu komendanta, zaprowadzono do stajni, gdzie się natychmiast rzucił na słomę i zasnął twardo, że w kilka godzin później, z wielką trudnością obudzić go przyszło. Stawiony przed komendanta, z dziecinną ciekawością zaczął się przypatrywać jasnym kolorom jego munduru, i błyszczącym szlifom, powtarzając swoje zwyczajne słowa, Reuta etc. do których, jak później odkryto, żadnego nie przywiązywał znaczenia. Byłyto po prostu dzwięki, których go, jak papugę nauczono, i któremi on wszystkie swoje uczucia i chęci wyrażał.

List który przyniósł, nie zawierał żadnego objaśnienia, o téj nadzwyczajnéj istocie; owszem wyraźnie widać było, że był pisany w tym celu, aby domysły na fałszywą drogę wprowadzić. List ten był po niemiecku, jakoby przez jakiegoś ubogiego wieśniaka, ojca dziesięciorga dzieci, który wyrażał: że oddawca, zostawiony w domu jego w roku 1812. 7. Października, chował się w nim aż dotąd: że odebrał wychowanie chrześciańskie, i że umie czytać i pisać. Że zaś ma chęć wejść do wojska, piszący, nie będąc w stanie utrzymywania go dłużéj, przyprowadził go do Norymbergi, i opiece komendanta poleca.“ — Po tém wszystkiem następowało, kończące list, sprzeczne z nim, wcale dziwne wyrażenie: „jeśli go nie będziesz mógł przyjąć do wojska, to zrób z nim, co się podoba, lub pozbądź się go, w jaki zechcesz sposób.“ — Po liście następował przypisek po łacinie, widocznie tejże saméj ręki, chociaż się pisarz jego „biedną dziewczyną“ być mienił. Przypisek ten zawierał: że oddawca urodził się 30. kwietnia 1812 roku, że był ochrzcony, i że ma bydź oddany do 6go pułku jazdy lekkiéj, w którym ojciec jego, dziś już nie żyjący, był służył.

Kommendant nie mogąc sam rozwiązać téj całéj zagadki, odesłał nieznajomego do policyi miejskiéj. Jak przedtém, tak i teraz, na wszystkie zapytania, które mu czyniono, odpowiadał jedynie swemi zwyczajnemi słowy, „Reuta“ etc. Nie okazywał bynajmniéj żadnéj trwogi, żadnego zadziwienia, ani pomieszania; owszem jakąś zwierzęcą prawie nieczułość na wszystko, co go otaczało; jak gdyby nic w koło siebie nie widział, i o niczém nie myślił. Lecz nie przestawał wskazywać na swoje nogi, płacząc i jęcząc żałośnie; co połączone z jego dziecinnem i naiwnem postępowaniem, powszechne mu politowanie zjednało. Chociaż postać jego zewnętrzna okazywała dorosłego młodzieńca, całe obejście się jego godne było zaledwo trzyletniego dziecka. Urzędnicy policyjni dzielili się w zdaniu, czy go za człowieka bez zmysłów, czy za dzikiego uważać; gdy ktoś z obecnych zrobił uwagę, że się pod tym niezwyczajnym pozorem, może jakie oszukaństwo ukrywać. Radzono, aby doświadczyć czyliby pisać nie umiał, i podano mu papier i atrament, pokazując znakami, co ma czynić. Zdawało się, że mu to przyjemność sprawiło; jakoż wziął pióro między palce wcale zręcznie, i czytelnym charakterem napisał imie „Kasper Hauser.“ — Okoliczność ta wzmogła rzucone wprzód podejrzenie podejścia, i w skutek tego, nimby się rzecz jaśniéj wykryła, odesłano go do więzienia, przeznaczonego dla włoczęgów i podejrzanych osób.

Budowa ciała Kaspra Hausera, silna i pleczysta, okazywała doskonałą symetryą wszy-

stkich części, bez żadnego widocznego braku. Twarz jego, w pierwszych czasach przybycia do Norymbergi, była wcale pospolita, i prawie bez żadnego wyrazu; niższa jéj część nieco wystająca naprzód, nadawała ogółowi jakiś zwierzęcy charakter. Lecz w przeciągu kilku miesięcy fizyonomia jego zmieniła się prawie zupełnie: rysy nabrały ognia i wyrazu, wydatność niższéj części zmniejszyła się stopniami, tak, że był do niepoznania.

Stopy jego, z których poznać można było, że nigdy obuwia nie nosił, były bardzo kształtne, a podeszwy tak cienkie, jak skóra na dłoni. — Chód jego, właściwie mówiąc, nie mógł się nazwać chodem, ale raczéj ciągłem zataczaniem się z upadaniem. Najmniejsza zawada na drodze sprawiała, że upadał jak długi, — i przez bardzo znaczny przeciąg czasu, nie umiał wejść ani zejść po wschodach, jeżeli go nie prowadzono pod ręce. Zaledwo wiedział, jak ma używać rąk i palców — i gdzie dosyć było jednego palca, używał zwykle całéj dłoni, w najniezręczniejszy sposób.

W krótkim czasie Kasper Hauser przestał być uważany za oszusta lub człowieka bez zmysłów, a jego łagodność, dobroć i posłuszeństwo, nie dopuściły mniemania, że się między leśnemi zwierzęty wychował. Jednakże tak był pozbawiony wszelkich pojęć i wyrazów, tak nie obeznany z najpospolitszemi przedmiotami codziennego życia, taką okazywał obojętność i wstręt do wszystkich przyjętych w towarzystwie zwyczajów, tyle miał dziwnych osobliwości w umysłowém, moralném i fizycznem ukształceniu swojem, że nie pozostało nic innego, jak wnosić, że był trzymany w zupełnem zamknięciu i odosobnieniu, przez całe życie swoje, aż dotąd. — Potworna istota, zaczynająca żyć w połowie życia! — Dojrzały człowiek, bez dzieciństwa i bez młodości!

Kasper Hauser, stał się przedmiotem ciekawości powszechnéj, i tysiącznych odwiedzin. — W nocy spał, leżąc na słomie; we dnie siedział na ziemi, z wyciągniętemi naprzód nogami. Pożywieniem jego był chleb i woda, i żadnego innego przyjąć nie chciał. Sam zapach najpospolitszych pokarmów już w nim wstręt i obrzydzenie obudzał; a najmniejsza kropla wina lub kawy, skrycie z napojem jego zmieszana, sprawiała mu zimne poty, womity, i gwałtowny ból głowy. — Obaczywszy pierwszy raz świecę, ucieszył się bardzo blaskiem ognia, i zaraz go chwycił ręką jak dziecko, a sparzywszy się głośno płakać zaczął. Probowano, czy go nie przestraszy widok gołego pałasza, którym go niby ściąć lub przebić chciano; ale się bynajmniéj nie wzruszył, i nie zdawał się domyślać, że mu tym sposobem grożono. Gdy mu pokazano zwierciadło, ujrzawszy w niém swą postać, wyciągnął ku niéj zaraz ręce, a nie mogąc jéj ująć, spojrzał prędko za zwierciadło, jakby ją tam spodziewał się znaleść. Jak dziecko sięgał ręką do wszystkiego, co mu się podobało, i płakał, gdy mu nie dano. Umiał tylko dwa słowa, na oznaczenie żyjących istót. Ludzi, bez względu na płeć i wiek, nazywał słowem: „bua" — nie mającém żadnego znaczenia. — Zwierzęta zaś i ptaki, czy to był pies czy kot, gęś czy wróbel, nazywał bez rożnicy „Ross" (koń). Słowo to zajmowało najpierwsze miejsce w jego słowniku, zawierającym zaledwo półtuzina wyrazów. Powtarzał je często ze łzami i błagającym tonem. Gdy ujrzał jakie cacko, wstążkę, pieniądz, lub malowidło, które mieć pragnął, wołał żałośnie: „Ross, Ross!" i okazywał gestami, że chciałby wszystkie piękne rzeczy na koniu zawiesić. Słysząc to sługa policyjny, dał mu raz do zabawy drewnianego konia. — Posiadanie tego cacka sprawiło nadzwyczajną zmianę w Kasprze. Dotychczasowa jego nieczułość i obojętność na wszystko znikła zupełnie. Całe jego postępowanie nabrało pewnéj godności. Zdawało się, że odzyskał straconego przyjaciela, po którym tęsknił. — Odtąd cały czas jego był zajęty pieszczotami ze swoim koniem, którego bezprzestannie czyścił, głaskał, karmił, i w różne strony posuwał, nie zmieniając jednak swego położenia, w jakiem zwykle zostawał na ziemi. Nie zjadł nigdy kawałka chleba, nim go wprzód nie przytknął do gęby którego ze swoich koni — bo wiele mu ich dano — ani wypił szklanki wody, nie podawszy jéj pierwéj swym koniom, których usta potem starannie ocierał. Gdy go chciano przekonać, że drewniane konie jeść nie mogą, zdawał się zbijać ten zarzut, wskazując na okruszyny chleba, które do ich gęby przylgnęły. Z tych i tym podobnych przykładów, widać było oczywiście, że wyobrażenia wszystkich rzeczy, żywych lub nie żywych, organicznych lub nieorganicznych, naturalnych lub sztucznych, dziwnie były pomącone w duszy, téj nieszczęśliwéj ofiary niesłychanego okrucieństwa. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Zofijówka.

Kto gajów tuskulańskich smakował ochłody,
Kto uwieńczał Tyburu spadające wody,
Kto straszne Pauzylipu przebywał wydroże,
Jeszcze i w Zofijówce zadziwiać się może,
I przyzna, jeśli szczerość usty jego włada,
Czém tamte w częściach słyną, ta razem posiada.
Trembecki w Zofijówce.

Z pięknych wzgórzów Podola i Wołynia, wstępuje się na stepy i nieprzejrzane błonia Ukrainy. Uprawne niwy, dostarczają zboża w obfitości; bujna trawa, którą zarastają stepy, tuczy niezliczone stada bydła, koni i owiec, a te pasąc się wpośród rozległych równin, uprzyjemniają widok szczodrze ręką natury uposażonéj krainy. W szczęśliwych tych



Świątynia Kanopa w Zofijówce.

stronach wiele znajduje wędrownik dawnych pamiątek, wiele widzenia godnych miejsc, wyrównających najpiękniejszym obcych krajów widokom. W bliskości miasteczka **Humania**, pamiętnego z rzeźi okropnéj Hajdamaków, którzy za panowania Stanisława Augusta kilka tysięcy ludzi tutaj wyrznęli, tak, iż nazwiska srogiego **Gonty**, **Szydła**, **Żelezniaka**, **Tymeńki**, **Bondareńki**, dzieci jeszcze z bojaźnią powtarzają, leży obszerny ogród Hr. Szczęsnéj Potockiéj, uprzyjemniający całą okolicę. Geniusz **Metzla** usiłował tu oczarować każdego imaginacyą, i przenieść ją w krainę pięknéj Szwajcaryi. Sztuka zastąpiła naturę. Złożono stósy twardych granitów, po których odemknięte kanały szumne toczą wody. Wszystko tu jest dziwne, piękne, sztuczne i kosztowne; mogło więc pobudzić jednego z najsławniejszych wierszopisów naszych, **Stanisława Trembeckiego** do napisania poematu pod tyt: Zofijówka.

Ogród ten Zofijówką zwany, mówi **Hr. Edw. Raczyński** w wspaniałem wydaniu Podróży swojéj do Turcyi, leży o ćwierć mili od miasta, w dolinie między dwoma skalistemi wzgórkami, po których się kręte wiją ścieszki: celniejszą jego ozdobą jest

wodospad strumienia, który z pośród ogromnych kamieni i urwisk skał granitowych wypływa, i z wysokości 24 łokci wylewa się w staw do kilkaset sążni długości mający. W przezroczystéj jego wodzie odbijają się jak w zwierciedle tysiączne nad brzegami zasadzone kwiaty, i zwisłe wierzb płaczących gałęzie. Wśród stawu sterczy skała, a z niéj wzbija się wytrysk czyli fontanna 23 łokcie wysoka. Słup wody u dołu 9 cali obwodu mający, rozszerza się u wierzchu, i kształci niezmierną, pieniącą się kolumnę, która już z daleka podróżnego zadziwia. Zdaje się, iż twórca Zofijówki, miejsce to szczególniéj przyozdobić sobie zamierzył. O kilkanaście łokci od stawu stoi posąg marmurowy Konsula rzymskiego, który starożytnym być mniemają; głowa jego i tułów bardzo są piękne, nogi i ręce są dorobione, i podobno mniéj dobrze.“

„Powyżéj kaskady wznosi się budynek z granitu z przepychem wystawiony, świątynią Kanopa zwany. Zaprowadzono strumień po nad jego kopułę, z któréj nagle spada i wystawę tego gmachu przezroczystą okrywa zasłoną (ob. obraz). Obfite wody znacznym nakładem zdaleka sprowadzone, szczególniéj zdobią Zofijówkę. Strumień środkiem ogrodu płynący, tu się na kilka koryt dzieli, tam się znowu łączy, raz z szumem z kamienia na kamień spada, drugi raz między niemi się wijąc niknie, i zdaje się wabić, aby go szukano.“

Założenie tego ogrodu do 3000000 Złp. kosztowało.



Mieszkańcy Kurdistanu.

Xenophon, historyk grecki, wspomina o narodzie mieszkającym w Azyi środkowéj, odznaczającym się dzikością i barbarzyństwem, nieuznającym żadnéj zwierzchności nad sobą, trudniącym się łupieztwem i rozbojem. Naród ten utrzymał się do naszych czasów, nie uczyniwszy żadnych postępów w oświacie, i nie zmieniwszy swych dzikich obyczajów. Karduchowie Xenophonta, są to bezwątpienia mieszkańcy Kurdystanu, kraju graniczącego na północ z Armenią, na wschód z perskiemi równinami Iraku, na południe z Bagdadem, na zachód dotykającego rzeki Tygrys. Kurdowie prowadzą życie nomadyjskie, bardzo mała liczba uprawia rolę; całe bogactwa ich stanowią trzody kóz, które corocznie w znacznéj liczbie do Konstantynopola pędzą. Lubo są Mahometanami, różnią się jednak bardzo w obrządkach religijnych od innych wyznawców Islamu. Waleczni i wytrzymali na trudy, poczytują łupieztwo za rzecz godziwą. Królów i Xiążąt nie znają wcale: każda gromada ciągnąca razem na paszę, obiera sobie wodza, lecz skoro ten im się nie podoba, zrzuca go z urzędu i osadza innego. Wycieczki ich do Persyi, Turcyi, i prowincyi berłu Rossyi podległych, były przyczyną, iż często mocarstwa te wyprawy przeciw Kurdom przedsiębrały, i do płacenia haraczu zniewalały, podbić ich jednak zupełnie nie mogły.

W wojnach przyjmują Kurdowie żołd od sąsiednich państw, i często się zdarzało, iż jedni Rossyi, drudzy Persyi lub Turcyi służyli, i przeciw sobie walczyli. Składają zwykle lekką jazdę, do czego konie ich małe, lecz szybkie i wytrzymałe, bardzo są pożyteczne.

Obyczaje tego ludu są jeszcze nieokrzesane; skład ciała mocny, rysy twarzy grube, noszą cechę niezatartéj dzikości; oczy ich zdradę i pod-

stęp malują. Wyobrażenia ich o powinnościach i stósunkach ludzi między sobą, są poczęści szczególniejsze. Anglik John Malcolm, który zwiedził Azyą w roku 1810, opowiada nam w opisie podróży swojéj następujące zdarzenie: „We wsi Zaga, mówi on, słyszałem, iż młody Kurd zabił własnego ojca, i pytałem jednego z starszych, jaka kara czeka zbrodniarza, i kiedy nanastąpi? — Szeik nasz (tak nazywają Kurdowie wodzów obranych wśród siebie), niemoże wskazać na śmierć zabójcy, odpowiedział jeden z przytomnych; albowiem występek musi równać karze: w tym zaś przypadku nie ma równości; młody bowiem i mocny Kurd, bardziéj może być pożytecznym krajowi, niż zgrzybiały starzec, którego zabił.“

Od czasu wojen Persyi z Rossyą poznali rządcy Kurdów zbytki, i dlatego szczególniéj w części Kurdystanu, hołdującéj Persom, chcąc wspanialsze, niż przodkowie ich prowadzić życie, często sąsiedzkie krainy napadają i pustoszą. Ubiór ich jest tatarski: szerokie spodnie, krótkie kurtki czerwone, obszerne płaszcze składają ich odzież. Młodzież zdatna do noszenia broni, zapuszcza ogromne wąsy, goli zaś brody, które tylko podeszłym nosić wolno, a każdy starzec w wielkiém jest poszanowaniu. Najdzikszymi są ci z Kurdów, co zamieszkują górzyste okolice; nie mają bowiem jeszcze najmniejszego wyobrażenia o Bogu.

Pomiędzy Kurdami, zostającymi pod panowaniem perskiem, żyje do 1400 Chrześcian, sekty nestoryańskiéj: mają oni kościół w mieście Sennab; lecz za wolność wyznania wiary, wielkie podatki Szeikom swoim opłacać muszą.

Poeci Perscy.

(Dokończenie.)

Firduzy, naówczas pod inném imieniem, nieznany monarsze, mieszkał daleko od dworu, w rodzinném mieście swojem Muszydzie, ćwicząc się pilnie w naukach, i kształcąc wrodzony do poezyi talent. Dowiedziawszy się o zamiarze Mahmuda, i o wybranych przez niego na próbę przedmiotach, wziął się tajemnie do pracy, i w krótkim czasie wygotował opisanie pewnéj bitwy, które dotychczas za najpiękniejsze miejsce w poemacie jego uchodzi. Opisanie to, tak wielkie i tak powszechne wzbudziło uwielbienie, iż uwiadomiony o niém Mahmud, autora na dwór swój powołał. Firduzy przybył, i wkrótce po swem przybyciu, tak pięknie drugą bitwę opisał, iż zachwycony Mahmud, zmienił poprzednie postanowienie swoje, i jego w miejsce Unsura, do pisania całéj historyi przeznaczył. Nie przestając na tem, rozkazał, aby mu za każde tysiąc dwuwierszy, tysiąc sztuk złota ze skarbu wypłacono; i sam nadał poecie imię „Firduzy“ — (co znaczy „Raj“) ponieważ w poezyach jego rajską słodycz znajdował. — Miło jest dodać, że Unsuri, uznawszy wyższość geniuszu swego rywala, sam dobrowolnie bez zawiści i gniewu, miejsca mu swego ustąpił.

Wezyr Mahmuda, stósując się do woli monarchy, wzywał po wielekroć poetę, aby w miarę postępu dzieła, przeznaczoną nagrodę ze skarbu odbierał. Firduzy jednak, nie chciwy zapłaty, wolał czekać aż do zupełnego ukończenia dzieła, nad którem bez przerwy pracował, w nadziei, że odebrawszy w ówczas ogromną summę, która mu należeć będzie, łatwiéj potrafi dogodzić panującéj w sercu swém żądzy, wyświadczenia wielkiego dobrodziejstwa miastu, w którém się urodził. Dusza takiemi uczuciami przejęta, łatwo pojąć, iż się nie mogła nagiąć do pochlebstwa, ani się czołgać przed dumą. Obrażony wyniosłością charakteru poety, Wezyr, użył całego wpływu i przewagi swego urzędu, aby Firduza łask monarchy pozbawić. Nasadzeni przez niego Ulemowie oskarzyli poetę o bezbożność, o odszczepieństwo od prawdziwéj wiary proroka i o sprzyjanie sektarzom Alego. Oskarzenie to wszakże pozostało bez skutku; poeta usprawiedliwił się z zarzutów, a imię jego i chwała tém głośniejszemi się stały. Monarcha, równie jak cały naród, oczekiwał z niecierpliwością ukończenia dzieła, mającego być pomnikiem sławy narodowéj. Powszechne uwielbienie i hojne ze wszech stron dary, zachęcały poetę. Po trzydziestu nakoniec latach gorliwéj pracy, ukończył Firduzy dzieło swoje, składające się z 60000 dwuwierszy. Ucieszony tem Sułtan, rozkazał, jak powiadają, dać poecie tyle złota, ile słoń największy zaważy. Lecz zamiast téj tak nadzwyczajnéj nagrody, którą sam tylko zdobywca Indyi dać chyba był w stanie, mszcząc się za dawne swe urazy Wezyr, posłał poecie tyle tylko sztuk srebra, ile mu podług obietnicy Sułtana sztuk złota należało t. j. 60000.

Firduzy był właśnie w łaźni publicznéj, gdy mu tę summę przyniesiono. Postrzegłszy w worach samo tylko srebro, wpadł w gniew wiel-

ki, i aby lepiéj wzgardę takiego daru okazać, całą summę natychmiast między służących w łaźni i niewolników, którzy ją przynieśli, podzielił. „Powiedzcie Sułtanowi, zawołał, że nie dla tego Firduzy przez lat 30 pracował, aby tak podłą nagrodę za pracę swoją miał przyjąć.“

Uwiadomiony o tém Mahmud, gniew swój z razu na Wezyra obrócił; lecz biegły dworak, tyle wkrótce chytremi słowy, na umyśle Pana dokazał, że nie tylko sam siebie przed nim usprawiedliwił, lecz cały ciężar winy na Firduza zwalić potrafił, oskarżając go o niewdzięczność i nieuszanowanie względem swego dobroczyńcy i Pana.

Obrażony Mahmud, w pierwszym gniewu zapędzie, nie wątpiąc o prawdzie Wezyra, wydał wyrok na nieszczęsnego Firduza, aby nazajutrz rano, pod stopy rozpędzonych słoniów rzucony, dla przykładu innych śmierć poniósł. Uwiadomiony o tém poeta, w największém pomięszaniu i trwodze, wpadł do pałacu Monarchy, i rzuciwszy się mu do nóg, błagał o ocalenie życia, deklamując przytém pieśń, którą był właśnie ułożył, na cześć zwycięztw i szlachetności Mahmuda, chcąc nią swój poemat zakończyć. Prośby Firduza, a mianowicie wdzięk słyszanéj pieśni złagodziły serce Monarchy, i wyrok śmierci odwołany został. —

Nie śmiał już jednak Firduzy łasce pańskiéj zaufać, a niesprawiedliwość, jakiéj doświadczył, nadto go boleśnie dotknęła, aby ją bez szemrania znieść zdołał. Powróciwszy do domu, pod upływem oburzonego uczucia, napisał do dziś dnia zachowaną Kassydę, pełną goryczy i gniewu, w któréj się na niewdzięczność Sułtana, i na doznaną krzywdę użala. Po czém opuściwszy tajemnie stolicę Mahmuda, udał się do Bagdadu, gdzie go panujący Kalif ze czcią i uprzejmością przyjąwszy, w pałacu własnym pomieścił. Tam Firduzy, do poematu swego, tysiąc nowych dwuwierszy jeszcze napisał, za co od Kalifa, 60000 denarów i kaftan honorowy otrzymał.

W tymże czasie Sułtan Gizny, odkrywszy podstęp Wezyra, pozbawił go urzędu, i na wygnanie wskazał; aby zaś Firduzemu wyrządzoną niesprawiedliwość nagrodzić, wyprawił do niego do Bagdadu poselstwo, usprawiedliwiając się ze swego postępku, i prosząc, aby dołączone 60000 sztuk złota, wraz z szatą honorową na znak przebaczenia, chciał przyjąć. Niewczesne już były te dary! Firduzy opuściwszy Bagdad, schronił się był do swego rodzinnego miasta, i umarł w niém — właśnie dniem pierwéj, nim poselstwo Mahmuda nadeszło.

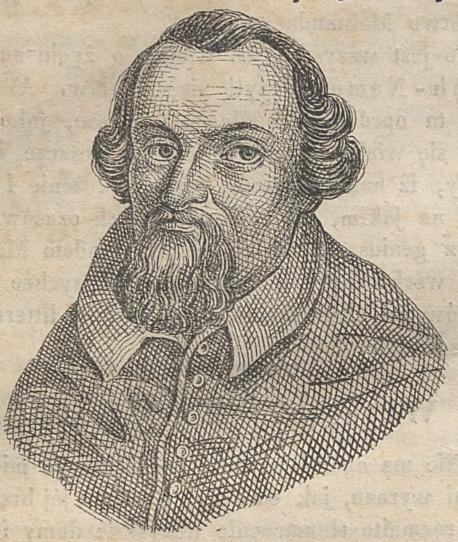
To jest wszystko, co wiemy o życiu autora: „Szah-Nameh“ czyli xiąg królów. Wiadomość ta oprócz szczególnego interessu, jako tycząca się wielkiego człowieka, ma jeszcze i ten ogólny, iż nam wystawia jasno położenie i stopień, na jakim, od najdawniejszych czasów, ludzie z geniuszem zostawali pod rządem Monarchów wschodnich; a razem wpływ tychże monarchów, na kształcenie się i postęp litteratury na wschodzie. *O.

Wojciech Tolibowski.

„Nie ma ogólniejszego i pospolitszego między ludźmi wyrazu, jak cnota. Szerokie jéj brzmienie i rozmaite tłumaczenie wszystkie domy i ulice napełnia, gdy tymczasem wśród szumnego roztrąbiania i wychwalania jéj powabów, kona świat dzień za dniem w swych gruzach i rozwalinach. Wam to lepiéj wiadomo, uzacnieni światłem religii mężowie, z czego się ten drogi żywiół człowieka składa. Nie jest to owoc w przemądrzałości ludzkiéj wylęgły, który się stósownie do każdego smaku i widzenia przeistacza: nie jest to szata teatralna, w którą się łatwo przyoblec, dla zwodniczego udania téj lub owéj osoby. Nie jest to towar, który na rynku, wśród zgiełku, małym kosztem zakupić można. Jest to dostojna niebios posłannica, która z górnych siedlisk na to zstąpiła, aby skażonego człowieka do jego pierworodnéj zacności podniosła, i podobnym go Twórcy swemu uczyniła. Jéj cechy, znamiona, charaktery tak są skromne i niewydatne, że trzeba niebiańskiego oka, aby je poznać i ocenić.“ *) Takiéj cichéj, skromnéj cnoty gorliwym czcicielem i wykonawcą był szanowny, i w czasie swoim wysoko poważany kapłan, Wojciech Tolibowski, Biskup Poznański. Niech nam się godzi życie jego, naznaczone tylu dobrodziejstwami, w krótkich skreślić wyrazach. Urodzony z ojca Andrzeja Starosty Bobrownickiego i matki Anny Piwowny roku 1605, wykształcony w kraju, a późniéj za granicą, w młodości swéj znajdując upodobanie w naukach, i pragnąc im oddać się cały, powziął zamiar poświęcenia się stanowi duchownemu. Talenta jego i gorliwość utorowały mu drogą do pierwszych godności w kościele. Obok obowiązków kapłana, będąc kanonikiem płockim i kruświckim, proboszczem płoc-

*) Woronicz.

kim a w roku 1647 zostawszy téj Katedry Suf-



Wojciech Tolibowski.

fraganem, wysługiwał się krajowi jako urzędnik w różnych okolicznościach. Przez królewicza Karóla, gdy na stolicy biskupiéj w Płocku siedział, mianowany w niebytności jego Administratonem dyecezyi, położonemu w nim zaufaniu jak najchlubniéj zadosyć uczynił. W roku 1655, po przeniesieniu X. Kaźimierza Czartoryskiego z Biskupstwa Poznańskiego na kujawskie, mianowany został Tolibowski przez Jana Kaźimierza, Biskupem poznańskim. Wojna nieszczęśliwa, zalanie kraju przez nieprzyjaciela niepozwoliły Tolibowskiemu udać się do osieroconych owieczek: przybył dopiero we dwa lata po swéj nominacyi do Poznania, aby koić zadane rany powierzonéj sobie czeladki; znalazł bowiem przybytki pańskie, jedne spalone i w gruzach leżące, jakoto: kościoły M. Magdaleny, St. Anny, Bernardynów, Karmelitów, S. Marcina, inne złupione, a mieszkańców pogrążonych w niedoli. Pocieszał czuły i gorliwy pasterz cierpiących, ratował potrzebujących pomocy, ujmując nawet samemu sobie. 12. Listopada t. r. zjechał król Jan Kaźmierz do Poznania, a na żądanie Monarchy niewahał się Tolibowski oddać sreber kościelnych na potrzeby kraju. Trwała wojna jeszcze z różną szczęścia koleją: wojsko niepłatne zrobiło konfederacyą i żądało żołdu: kraj wycieńczony nie mógł złożyć podatków zaległych; dobry pasterz zaradził i temu, zaciągnął sam długi, aby zapłacić podatki z Województw Poznańskiego i kaliskiego. Dobroczynność ta słynną być zaczęła, i zewsząd wznosili dotknięci klęskami wojny ręce swe o pomoc do niego.

Jak po burzach pogoda, tak po tylu cierpieniach promyk szczęścia zajaśniał. Jerzy Lubomirski z Janem Sobieskim odzyskali zajęte od Szwedów miasta, a śmierć Karóla Gustawa przyspieszyła pokój w Oliwie (1660). Tolibowski korzystając z téj pory, oddał się całkiem dobru powszechnemu: wstępując w ślady Jana Lubrańskiego, wspierał nauki, chylące się w owym nieszczęśliwym czasie do upadku. Młodzieży kształcącéj się szczególnym był dobroczyńcą, a wychowania ich pilnym dozorcą: często szkoły odwiedzał, o postępki w naukach badał, nauczycielów wszelkimi sposobami zachęcał, i fundusze ich, zapisem 15000 Złtp. ówczesnych powiększył. Dziełko krótkie wprawdzie co do osnowy, ale ważne nader co do treści: „Zebranie krótkich nauk zbawiennych do codziennéj uwagi“ wydane w Poznaniu, jeśli nie jest pracą gorliwego Biskupa, to przynajmniéj za jego staraniem drukowane. Okazuje się w niém obraz żywy prawdziwego Chrześcianina, więcéj przykładem, jak słowy nauczającego, a takim był Wojciech Tolibowski.

Szczery, poufały, dobrotliwy, miłosierny, nie znał odźwiernych, którzyby do niego przystępu strzegli: nikt na posłuchanie jego nie czekał wyznaczonéj godziny; wolny był bowiem każdemu przystęp, gotową dla każdego pomoc i rada. W życiu swojém skromny, nie lubił okazałości, i gdy słyszał, iż mu przyganiano, że dom jego nie odznacza się niczém od mieszkania biednych plebanów: „gdy w zimie, odpowiedział, wchodzę do mieszkania mego, mury nie mówią mi, że im zimno; ale ubodzy, w progu stojący potrzebują odzienia i zasiłku.“ Sto ubogich kosztem swoim utrzymywał, wielu osobom podupadłym, jak świadczą przywileje Archiwum kapituły, już to na własnych, już to Biskupich dobrach, pewne przeznaczył wsparcia. Kapłan ten wzór prawego Chrześcianina i pobożnego Pasterza, zasnął w pokoju, skończywszy 58 rok życia, nadto krótkiego dla dobra ludzkości, ale dosyć wystarczającego do zarobienia sobie na długotrwałą pamięć i wdzięczność. Mnogie pamiątki, w rozlicznych funduszach po sobie zostawione, są świadkami jego gorliwości o chwałę bożą. Jego staraniem sprowadzeni do Poznania OO. Reformaci na Śródkę, kościół im wystawiony, obdarzony od Biskupa funduszem na żywienie ubogich, i znaczną biblioteką. Katedry Poznańskiéj dach dolny blachą pokryty, a zakrystya Biskupia naczyniami kosztownemi do obrzędów świętych hojnie obdarzona. Niemniéj pamiętał Tolibowski o kaplicy S. Krzyża przez siebie założonéj, w któréj spoczywa pochowany bez przepychu w odzieniu zakonu S. Norberta, i o innych zakładach pobożnych. Krewnym swoim nic nie zapisał, więcéj im bowiem czynił za życia, niż sami rodzice; pokazuje się to z podziękowania jego synowców przy testamencie z d. 15. Grudnia 1656 roku.

Piękna to była dla cnót nagroda, kiedy w zgasłym Tolibowskim opłakiwała dyecezya troskliwego Pasterza, ubóstwo ojca, kraj prawego syna stratę. Kapituła Poznańska policzyła go do rzędu szczególniejszych dobroczyńców swoich, i obraz obok Lubrańskiego i Szóldrskiego, Biskupów, w Kapitularzu z czcią przechowuje.

X. K

Nakładem i drukiem Ernesta Güntera w Lesznie. (Red. Ciechański.)